

Anna Jedynak

O relatywizmie językowym raz jeszcze

Tekst pana Trybulca* dotyka zagadnień związanych z relatywizmem językowym. Napisany jest niestety niezmiernie niejasno, nawet w tych partiach, które w zamierzeniu poświęcone miały być eksplikacji innych poglądów. Z dwóch powodów przedstawia pewną wartość. Po pierwsze, ze względu na liczne niedopowiedzenia i usterki warsztatowe może stanowić wdzięczny i obszerny materiał do pracy seminaryjnej w tradycji filozofii analitycznej. Analiza tekstu pod kątem dostrzegania tego rodzaju niedociągnięć oraz prób wyluskania sensownej myśli bywa bardzo pouczająca i wdraża do porządnego warsztatu. Pomijając aspekt dydaktyczny, w filozofii zdarza się często, że jedni w mglisty sposób sygnalizują pewne intuicje czy wątpliwości, które motywują drugich do ich eksplikacji, nadającej im postać zrozumiałą i uchwytną. Po drugie, tekst ten motywuje do uświadomienia sobie ważnych pytań związanych z relatywizmem i sformułowania kierunków dalszych poszukiwań, nawet jeśli czytelnik nie byłby w stanie odtworzyć intencji Autora.

W komentarzu niniejszym nie zamierzam próbować dociekać poglądów Autora poprzez próby eksplikacji jego wypowiedzi, gdyż byłoby to zadanie zbyt obszerne i zbyt zawile. Dla uniknięcia gołosłowności i podkreślenia wagi dopełniania pewnych minimalnych standardów odwołam się jednak do kilku przykładów. Zarazem ważne wydaje się tu nie tyle dociekanie myśli czy intencji Autora, ile raczej wskazanie, do jakich istotnych przemyśleń jego tekst skłania. (Notabene, nie inaczej wielu filozofów traktuje teksty klasyków).

Zamierzam zatem podzielić się z czytelnikami refleksją z lektury, także — już bez dokładniejszych do niej odwołań — wskazać sprawy, związane z relatywizmem, a zasługujące na uwagę, do których podjęcia ten tekst motywuje.

* Marcin Trybulec, *Niewspółmierność a relatywizm językowy*, „Filozofia Nauki” R. XVII 2009 nr 3(67), s. 33-55.

Jeśli chodzi o nieściśłości, jednym z celów tekstu ma być na przykład „wskazanie ogólnych zależności związanych z używaniem pojęcia niewspółmierności w kontekście relatywizmu”. Co od czego ma zależeć? W jaki sposób zależności mają być związane z użyciem pojęcia? O co tu chodzi? Czy o porównanie dwóch prezentacji relatywizmu, alternatywnych pod względem doboru środków pojęciowych? A może nie o użycie pojęcia niewspółmierności Autorowi chodziło, lecz o przekonanie, że istnieją teorie niewspółmierne czy też języki nieprzekładalne? Pytanie dotyczyłoby wówczas tego, jakie są konsekwencje relatywizmu językowego wespół z poglądem o nieprzekładalności. Ale nie można być tego pewnym, bo przecież pogląd o nieprzekładalności stanowi niezbywalny składnik relatywizmu Whorfa. (Choć powiada się czasem o językach niewspółmiernych, jest to pewne uproszczenie: chodzi o języki nieprzekładalne, w których można sformułować teorie niewspółmierne, czyli takie, że każda z nich sformułowana jest w innym języku, odnoszą się do podobnych zjawisk, a ponieważ operują odmiennymi pojęciami, są nieprzekładalne. Uproszczenie to może prowadzić do błędnego wrażenia, że niewspółmierność języków jest czymś mocniejszym od nieprzekładalności. Istotnie, brzmi poważniej, toteż dalej czytamy, że błędna zdaniem Autora interpretacja relatywizmu „wynika z ograniczenia pojęcia niewspółmierności do wymiaru zmienności znaczeniowej”).

Razi tam pełno spraw drobnych, np. błędne kategorialnie zaliczenie reguł myślenia do operacji myślowych, stwierdzanie wykluczenia stanów rzeczy przez pojęcia, pisanie o analizie tam, gdzie chodzi o asertywną interpretację, a o użyciu pojęcia tam, gdzie zapewne chodzi o przekonanie o jego niepustości, mylenie sądów ze zdaniami itp.

Zagadkowo przedstawia się „eksplikacja” różnych wersji relatywizmu. Mówi się tam o „odmiennych” językach, nie precyzując, na czym odmiennność ma polegać. Czy „wartość poznawcza” oznacza tam prawdziwość, czy sensowność, czy informacyjność, czy zgodność z potrzebami użytkowników języka, w szczególności przydatność heurystyczną, coś jeszcze innego? W dwóch pierwszych wypadkach ze względu na ową „wartość” zdania dzieliłyby się dychotomicznie, w pozostałych podlegałyby gradacji. Dalsze fragmenty sugerują raz takie, a kiedy indziej inne rozumienie „wartości poznawczej”. Najczęściej jednak nie wiadomo, o co chodzi. „Wartość poznawcza” jest ewidentnie niedopowiedziana i na karb tego — a nie na karb relatywizmu — można złożyć niemożność porównywania wartości poznawczej w myśl różnych kryteriów, ukształtowanych w obrębie różnych języków, gdyż kryteria te mogą różnie eksplikować to pojęcie ze względu na zwykłe niedopowiedzenia.

Wersja relatywizmu, nazwana „logiczną” i przeciwstawiona pragmatycznej, ma w końcowej części charakter psychologiczno-pragmatyczny właśnie. Wersja 3 nazwana jest słuszną wartościującą, gdyż stwierdza równą wartość poznawczą pewnych zdań, a dalej zwana jest normatywną, choć żadnej normy doszukać się tam nie można. Zdania nieporównywalne pod względem „wartości poznawczej” uważa Au-

tor za fundamentalnie skonfliktowane, co budzi opór natury językowej (i sugeruje domysł, o co to innego tak naprawdę panu Trybulcowi tu chodziło, o czym dalej).

Mowa jest tam także o wpływie języka na kształtowanie się ludzkiej wiedzy. W myśl klasycznej koncepcji, wiedza obejmuje przekonania, ich prawdziwość oraz znajomość ich uzasadnienia. Jeśli tak, to znacznie osłabiłby problem konfliktu, bo wiedza jest z definicji prawdziwa. Odchodzi zapewne pan Trybulec od klasycznej koncepcji wiedzy, ale ku jakiej — nie pisze, przynajmniej nie w owych „eksplikacjach”. Potem „wiedza” zamienia się w „myślenie”, w obrębie którego odróżnione są same przekonania oraz proces dochodzenia do nich.

Brakuje w „eksplikacjach” kwantyfikacji i skazani jesteśmy na domysły. Gdyby w wersji 2.2 miała być najmocniejsza kwantyfikacja, dostalibyśmy jawny fałsz: jeśli każde zdanie pierwszego języka miałyby być sprzeczne z każdym zdaniem drugiego, to wszystkie zdania drugiego byłyby wzajemnie równoważne i wszystkie zdania pierwszego też. Podobny, choć połowiczny rezultat dostajemy, gdy osłabić pierwszy kwantyfikator do postaci egzystencjalnej — wówczas wszystkie zdania pierwszego języka okazują się równoważne. Gdyby natomiast wprowadzić egzystencjalną kwantyfikację w drugim miejscu, dostajemy osłabienie do postaci trywialnej. „Odmienne” okazują się wówczas dwa języki izomorficzne i w pełni przekładalne. Dla każdego bowiem zdania pierwszego języka istnieje w drugim języku zdanie z nim sprzeczne, będące wszak przykładem wyrażonej w pierwszym języku negacji tego zdania! Jeśli zostawić kłopotliwe kwantyfikatory jako zbędną pedanterię, bo przecież prawdziwie pojętni ludzie i tak w lot chwycą, o co chodzi (takie żenujące argumenty czasem się, niestety, słyszy), pojawia się inna trudność. Może sprzeczne miałyby być jakieś szczególnie, specjalnie wybrane zdania obu języków, zestawione ze sobą nieprzypadkowo, ale też nietrywialnie? Wspomnianą trudność stanowi pytanie, na jakiej zasadzie zdania te miałyby być do siebie „dopasowane”. Czy może wkracza w to sprawa znaczenia? Do takiego tropu zachęca fakt, że w wersji 2.2 nic się o odmienności znaczeniowej nie mówi. Ale w tym momencie dziecko zostaje wylane z kąpielą i nie sposób w tym objaśnieniu relatywizmu rozpoznać.

Czytelnik widzi teraz, że nie sposób zanalizować tu w całej rozciągłości omawianego tekstu, gdyż niektóre jego fragmenty domagają się komentarza wielokrotnie obszerniejszego od nich samych. Dalsze strony również w takie fragmenty obfitują, stąd pomysł, by pracę tę uczynić przedmiotem gruntownych analiz seminaryjnych. Wszelako o jednej jeszcze rzeczy nie mogę nie wspomnieć. Autor odnosi się do moich poglądów, których nie jestem w stanie w jego relacji rozpoznać. Gdybym skądinąd nie znała poglądów niejakiej AJ, nie potrafiłabym ich na podstawie tego tekstu odtworzyć. Na przykład, pisze pan Trybulec, że zdaniem AJ założenia leżące u podstaw różnych języków „nie pozostają w konflikcie w sensie pragmatycznym”. Jest to dokładnie przeciwne temu, co u AJ można wyczytać: konflikt miał istnieć na poziomie pragmatycznym, lecz nie semantycznym. Omawiane przez AJ niepodlegające werbalizacji postawy sprowadził pan Trybulec do emocji. Dopatrzył się u AJ przekonania, że „używając pojęcia niewspółmierności do analizy RJ można uniknąć tezy,

że dwa zdania sprzeczne są równie dobre pod względem ich wartości poznawczej”. Jest tu presupozycja, że „uniknięcie” (falsyfikacja? przypisanie bezsensowności? zarzucenie pojęć potrzebnych dla jej wyrażenia?) tej tezy wymaga jakichś specjalnych zabiegów. Po pierwsze, wraca tu sprawa niedopowiedzenia „wartości poznawczej”. Jeśli to sensowność, nie ma po co „unikać” wspomnianej tezy. Ale raczej nie o to chodzi. Jeśli to wartość logiczna, co bardziej prawdopodobne, „unikanie” tej tezy to walka z wiatrakami. Zdaje się, że przyjął pan Trybulec, iż konsekwencją relatywizmu językowego jest współprawdziwość pewnych zdań sprzecznych, a uchylene tej konsekwencji wymaga zaangażowania pewnych specjalnych środków pojęciowych i prowadzi do argumentacji nie całkiem merytorycznej.

Choć kusi mnie bliższe przyjrzenie się innym fragmentom poglądów AJ w relacji pana Trybulca, szkoda na to miejsca (zainteresowanych odsyłam do cytowanych przezeń moich prac). Przejdźmy do rzeczy znacznie ważniejszych. Niestety, jest to teren grząski. Zgodnie z zapowiedzią, będę próbowała dociekać intuicji, stojących za pracą pana Trybulca, przy czym nie bardzo będę się troszczyć o trafność rezultatów tych dociekań. Z góry proszę Autora o wyrozumiałość. Interesuje mnie bowiem raczej to, jakie intuicje mogą się z tym tekstem wiązać, niż to, jakie *de facto* zmotywowały Autora do jego napisania.

Często mówi się w tym tekście o identycznych lub odmiennych twierdzeniach. Nie dodaje się przy tym, czy chodzi o różność/identyczność pod względem kształtu, ewentualnie brzmienia, czy znaczenia. Pomocne bywa w takich wypadkach rozróżnienie sądów i zdań. Sądy to znaczenia zdań, gdy więc różnią się sądy, różne jest znaczenie zdań. Natomiast zdania synonimiczne mogą się różnić kształtem czy brzmieniem. Niestety, Autor często myli zdania z sądami, co widać stąd, że jedno z tych wyrażen używane bywa w kontekście, w którym powinno być użyte drugie. Na przykład: „Czy niewspółmierność języków można sprowadzić do komplementarnych interpretacji podstawowych, wspólnych im pojęć?”. Otóż niewspółmierność bierze się właśnie z braku wspólnych pojęć, jak zatem można ją sprowadzać do jakichkolwiek manewrów dotyczących wspólnych pojęć? We wspomnianym zdaniu chodziło zapewne o przypisanie różnych znaczeń różnobrzmiącym wyrażeniom. Na marginesie, pojawia się tu bardzo kłopotliwe w tym tekście pojęcie komplementarności. Jakie interpretacje wyrażen (właśnie wyrażen, a nie pojęć) są komplementarne, a jakie nie? Czy „inne” to już komplementarne? Jeśli nie, to czego trzeba jeszcze? O takie rzeczy czytelnik potyka się tu nieustannie, ale teraz o to mniejsza.

Ważne, że wraz z pomieszaniem zdań i sądów następuje pomieszczenie porównywania twierdzeń (używam tego neutralnego określenia, nieprzesadzającego, czy chodzi o zdania, czy o sądy) pod względem kształtu i znaczenia. Gdy zatem pisze pan Trybulec o sprzecznościach, nie wiadomo, czy dotyczą one zdań, czy sądów. Załóżmy najpierw, że dostrzega sprzeczność między takimi dwoma zdaniami różnych języków, że jedno z nich otwarte jest negacją, której argument jest równo-kształtny z całym drugim zdaniem, przy czym ów argument i drugie zdanie znaczą, każde w swoim języku, co innego. Z przyczyn syntaktycznych nie da się zdań tych

połączyć koniunkcyjnie „w jedno”. Należą do różnych języków. Dostalibyśmy twór nieskładny, niepodlegający ocenie w terminach wartości logicznej, zatem nieobalający zasady sprzeczności. Do eksperymentu myślowego o dokonaniu takiego połączenia może nas motywować skrót myślowy: oto „przeskoczyliśmy” w myśli etap translacji tych języków na języki z nimi izomorficzne, skompilowane następnie w jeden. Aby jednak kompilacja była jednoznaczna, wyrażenia pierwotnie równokształtne winno zastąpić się różnokształtnymi. I wtedy niknie pozór sprzeczności. Leży również u podstaw tych rozważań przemilczane założenie o możliwości kompilacji. Gdyby natomiast sprzeczność istotnie zachodziła między sądami, wyrażonymi w dwóch językach, nie zachodziłaby niewspółmierność ani nieprzekładalność tych języków.

Istnieją zatem dwa podstawowe poziomy porównywania wyrażen różnych języków: pod względem kształtu (różnica powierzchowna, nieistotna w kontekście relatywizmu) i znaczenia (różnica głębsza). Czasem wyrażenia różnią się tylko pod pierwszym względem, czasem tylko pod drugim. Pan Trybulec wrzucił te dwa poziomy do jednego worka, minimalizując wagę różnic znaczeniowych, po czym upomniał się o jakieś rozróżnienie stopnia odmienności języków; o różnice wyższego kalibru niż tylko natury znaczeniowej.

Postulat takiej gradacji jest ze wszech miar słuszny i stanowi bardzo cenną myśl omawianego tekstu. Autor draży ten wątek na wiele różnych sposobów — i chwala mu za to. Jest to bardzo pożądaný i interesujący kierunek pracy nad relatywizmem językowym.

Na przykład, odróżnia Autor języki, których założenia tkwią strukturalnie w nich samych, od języków, których założenia są w stosunku do nich zewnętrzne. Te drugie miałyby się w znaczniejszym stopniu między sobą różnić niż pierwsze. (Niestety, błędnie na tle tego podziału kwalifikuje różnice między rachunkami logicznymi: wbrew temu, co pisze, rachunki te nie różnią się pojęciem prawdy, bo tym pojęciem nie operują; mamy tu właśnie przykład założeń zewnętrznych, a nie — jak chciał Autor — wewnętrznych. Podobnie błędnie interpretuje różnice w znaczeniu funktorów dwóch rachunków, sprowadzając je w praktyce do takich różnic, jakie zachodzą między różnymi funktorami tego samego rachunku). Dalej, języki różniące się „tylko” znaczeniami uważa za wolne od konfliktu, różniące się natomiast głębiej, cokolwiek by to miało znaczyć — za skonfliktowane. Nawiązuje do podnoszonych przez Whorfa różnic leksykalnych i gramatycznych. Sę w tym, że Whorfowska „gramatyka” nie doczekała się jeszcze zadowolającej eksplikacji. Z pewnością nie jest to gramatyka w zwykłym sensie. Jest to słowo-wytrych, pod którym kryć się mają jakieś głębsze różnice od znaczeniowych, dotyczące struktur myślenia, przedstawianych zazwyczaj tylko na oklepanych przykładach. Jest to słowo łudzące. Nie można bowiem wykluczyć, że różne struktury myślenia mogą kryć się w językach podobnych syntaktycznie (czyli gramatycznie, w zwykłym sensie tego słowa). Zdaniem adwersarza Whorfa, Chomsky’ego, te same głębokie struktury myślenia leżą u podstaw odmiennych struktur powierzchniowych. Głęboka „gramatyka” jest jedna.

Stosując tę terminologię, lecz odwracając myśl, nie można wykluczyć, iż analogiczne struktury powierzchniowe mogą wyrażać, przy odmiennych warunkach prawdziwości zdań, odmienne głębokie struktury myślenia.

Dalej, wychodząc już poza język i odnosząc się do różnic w pojmowaniu świata, wymienia Autor różnice dotyczące języka (te mają być najpłytsze), doświadczenia i ontologii. Nazywa je „płaszczyznami niewspółmierności”. Są ze sobą ewidentnie spokrewnione. Jak zauważył Quine, różnice pojęciowe biorą się z odmiennych standardów podobieństwa, te zaś uwarunkowane są odmiennym doświadczeniem, czy zaliczymy do niego tylko łyse dane, uznane już obecnie za byt mityczny, czy także interpretacje bodźców. W tym drugim wypadku doświadczenie może być wobec tych samych bodźców różne dla różnych podmiotów. Doświadczenie nie tylko kształtuje język za pośrednictwem standardów podobieństwa, lecz i zwrotnie jest przezeń kształtowane. I jest powiązane z ontologią. Jego treść stanowi przedmiot segmentacji, z której ontologia wyrasta. A znów ontologia, zaświadczona językową kategoryzacją, wpływa na percepcję. Zaryzykowałabym przypuszczenie, że różnice znaczeniowe i doświadczalne idą ze sobą w parze (pamiętajmy przy tym o odróżnieniu znaczenia od kształtu wyrażen). To, czy idą w parze także z ontologicznymi, jest w pewnym sensie rzeczą konwencji: zależy od tego, jak poważne różnice kategoriałne nazwiemy już ontologicznymi. Jeśli wszelkie — to owo współwystępowanie zachodzi.

Przychyłam się jak najbardziej do pana Trybulca koncepcji gradacji odmienności języków czy sposobów myślenia, a zarazem nie sądzę, aby różnice znaczeniowe reprezentowały najniższy stopień tej odmienności, wyższe zaś dotyczyły czegoś innego. Przeciwnie, sądzę, że wszelkie te różnice mają charakter znaczeniowy. Mimo to jednak jest tam miejsce na gradację. W literaturze gradacja ta nie jest wystarczająco podkreślana ani tym bardziej opracowana. Na przykład, Davidson w znanej polemice z koncepcją odmiennych schematów pojęciowych wyróżnia jedynie nieprzekładalność całkowitą i częściową, nie wdając się w żadne rozróżnienia „jakościowe”.¹ Znamienna z drugiej strony jest uwaga Kuhna, że niewspółmierność nie oznacza nieporównywalności.² Wielu komentatorów natomiast sprowadzało niewspółmierność do nieporównywalności, z czego brała się sugestia, że niewspółmierność jest niestwierdzalna z powodu braku jakiegokolwiek pojęciowego dostępu do języków niewspółmiernych z językiem wyjściowym, oraz zarzuty, że relatywizm podcina w związku z tym własne korzenie. Wspomniana uwaga Kuhna, skonfrontowana z mocniejszą interpretacją niewspółmierności, poczynioną przez komentatorów, ponownie nasuwa myśl o potrzebie gradacji odrębności językowych.

¹ D. Davidson, *O pojęciu schematu pojęciowego*, tłum. J. Gryz, w: *Empiryzm współczesny*, red. B. Stanosz, Wyd. UW, Warszawa 1991, s. 280-297.

² T. S. Kuhn, *Droga po „Strukturze”*, tłum. S. Amsterdamski, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2003, s. 37, 58-59.

W cytowanej przez pana Trybulca pracy³ szkicuję zgrubnie pomysł stratyfikacji znaczenia, wyszczególniając różne jego poziomy. Poziomom znaczenia odpowiadają poziomy przekładalności. Języki mogą różnić się znaczeniem wyrażen ze względu na ten czy inny poziom znaczenia. Mogą zatem w słabszym sensie być przekładalne, lecz w mocniejszym nie. Różnice znaczeniowe między nimi mogą być płytsze, łatwiejsze do przewyciężenia, lub głębsze. Zagadnienie to nie zostało jeszcze zadowalająco opracowane, tym niemniej można wysuwać tu pewne sugestie. Na przykład, Whorfowskie różnice „gramatyczne” wydają się dotyczyć znaczenia pojmowanego holistycznie.

Tak więc intuicje dotyczące gradacji odmienności (po mojemu: odmienności znaczeniowej), które na różne sposoby wyraża pan Trybulec, są mi w znacznym stopniu bliskie. Podobieństwa upatruję także w innym punkcie. Oddając swoje intuicje w jeszcze innych słowach, przeciwstawia pan Trybulec różnice „tylko znaczeniowe” różnicom w założeniach metafizycznych, które owocować mają konfliktem zdań odmiennych języków, ale konfliktem innym niż sprzeczność. Na marginesie: kolejna ważna sprawa z kręgu relatywizmu językowego, domagająca się zbadania, to wyraz, jaki przyjmują owe założenia, oraz ich relacja do języka przez nie uwarunkowanego. Nie sądzę, aby z reguły do tego języka należały. Nie sądzę też — w przeciwieństwie do pana Trybulca — że doszukiwanie się ich poza tym językiem oznacza zmianę problematyki ze strukturalnej na mniej doniosłą, genetyczną.

Próbuje Autor objaśniać wspomniany konflikt, niestety w sposób budzący wątpliwości. Konflikt ów ma dotyczyć nie prawdziwości, lecz sensowności. O sensowności zdań stanowią jednak reguły języka, w tym semantyczne, i sensowność zdań zmienia się wraz ze zmianą reguł. Ta ostatnia zaś może z powodzeniem nastąpić w obrębie tych samych „założeń metafizycznych”. Zarazem nie można *a priori* wykluczyć sytuacji, w której manipulując zręcznie regułami języka zapewnilibyśmy sensowność tym samym zdaniom — nie mylić z sądami — mimo zmiany założeń metafizycznych (myśl ta pozostaje w duchu Quine’owskiego niezdecydowania). Znaczyłyby jednak te zdania co innego (co poznałby Quine ze zmiany w warunkach prawdziwości zdań). Nie przesądzają owe założenia także sensowności sądów, gdyż w przeciwieństwie do zdań, nie ma sądów bezsensownych. Wypowiedź bezsensowna nie wyraża żadnego sądu. W czym jednak mają udział założenia metafizyczne, to w dostępnych w danym języku sensach, inaczej: w zbiorze dostępnych znaczeń, jeszcze inaczej: w aparacie pojęciowym języka. Być może to właśnie Autor miał na myśli, ale przecież brzmi to tak zwyczajnie...

Wracając jednak do wspomnianego przezeń konfliktu, nie mogę oprzeć się wrażeniu (samo wrażenie to jednak niewiele), że zmierzamy w podobną stronę. Zgadza się, że nie jest to konflikt w znaczeniu sprzeczności. Moim zdaniem, jest on natury pragmatycznej. I podobnie sądzi pan Trybulec, przyjmując za Schefferem, co następuje: „Mimo że nie ma tutaj sytuacji konfliktu logicznego, istnieje istotny kon-

³ A. Jedynak, *Doświadczenie i język*, Wydawnictwo Naukowe Semper, Warszawa 2007, rozdz. 9.

flikt pragmatyczny. Konflikt ten polega na milczącym uznawaniu i akceptacji założeń metafizycznych własnego języka naturalnego za uniwersalnie obowiązujące”. Moim zdaniem założenia te dotyczą w znacznym stopniu hierarchii ważności spraw i wyrażają się pierwotnie selektywnością uwagi. Różne tego typu hierarchie są skonfliktowane same przez się; do konfliktu założeń nie jest niezbędna ich uniwersalizacja. W przeciwnym razie można by konfliktu uniknąć, wstrzymując się przed uniwersalizacją. Droga to niedostępna dla bezrefleksyjnych użytkowników języka naturalnego, lecz może dostępna dla bardziej świadomych. Wszelako chodzi tu chyba o konflikty nieprzewycięzalne nawet przez biegłych teoretyków. Motywacje pragmatyczne leżą u podstaw wyboru znaczeń. Znaczenia prowadzą do kategoryzacji. Dlatego, mimo predylekcji do stratyfikacji znaczeń i translacji, nie uważałabym różnic w kategoryzacji za „niegroźną” pod względem pragmatycznym dla kompilacji języków. Rzecz oczywiście zależy także i od głębokości tych różnic. Znacznie obszerniej przedstawiam te sprawy w cytowanych pracach.

Nie dostrzegam obecnie innej możliwości nieprzewycięzalnych konfliktów między językami nieprzekładalnymi niż pragmatyczne, wyrażające m.in. hierarchię ważności spraw. Co nie znaczy, że innej możliwości nie ma. Być może należy jej szukać w Groblera koncepcji sieci schematów pojęciowych, co wszelako może być tylko przesunięciem problemu, prowadzącym nas ostatecznie znów do wymiaru pragmatycznego. Zarazem jednak koncepcja sieci wydaje się użyteczna także w kwestii sposobu istnienia i oddziaływania założeń, na których ufundowany jest język.